

## Zwykła przyzwoitość - nic więcej

Siostra Małgorzata Chmielewska ur. 20 marca 1951 r. w Poznaniu przełożona wspólnoty Chleb Życia znana jest z tego, że organizuje pomoc ludziom, których życie jest bardzo trudne. Prowadzi domy dla bezdomnych, chorych, samotnych matek, noclegownie dla kobiet i mężczyzn. Zgłaszają się do niej młodzi wychowankowie domów dziecka albo z patologicznych rodzin, biedni niezaradni życiowo, chorzy psychicznie. Siostra wyraża się o nich z szacunkiem, przypomina że ubodzy należą do Boga są bezcenni w jego oczach. Osoby tak zwane wykluczone próbuje przywrócić społeczeństwu.

Chcę się z wami podzielić moim życiowym doświadczeniem, bez głębokich teologicznych rozważań. Myślę zresztą, że jest jakaś rozbieżność między wiedzą ludzką a wiedzą Bożą. Żyjąc Bogiem, starając się żyć Ewangelią zdobywamy wiedzę o jakiej naukowcom się nie śniło. Czasami myślę że psychologowie mogliby od nas pobierać lekcje, zresztą bywa że pobierają u moich braci i u moich sióstr, którzy studiów, przynajmniej psychologicznych nie kończyli. Życie z Bogiem, życie z ludźmi i życie Ewangelią jest nieprawdopodobną szkołą. Wśród was też są pewnie specjaliści np. od budownictwa, którzy nie kończyli szkół z tej dziedziny, ale trzeba było wyremontować kościół. Po kilku takich remontach można być niezłym budowlańcem. Do mnie przychodzą czasami młodzi, skąd inąd komputerowcy, chcąc się dowiedzieć jak coś zrobić szybko i tanio. Oczywiście nie jest to wiedza głęboka, ale za to praktyczna.

Kiedy ja osobiście spotkałam Chrystusa i uznałam że to jest Ten którego szukałam, że to jest ta miłość dla której warto poświęcić życie? Dość szybko wiedziałam że trzeba go szukać pod tymi trzema adresami: - w Eucharystii, - w Kościele jako wspólnocie, przekazującej nam Pismo św. i sakramenty oraz Tradycję - w drugim człowieku. Jako młoda dziewczyna marzyłam, żeby wstąpić do klasztoru kontemplacyjnego, do Benedyktynki. Na drodze swojego życia spotkałam dziewczynkę, która była bardzo zaniedbana i brudna. Pracowałam wtedy w szkole w Drohiczyne nad Bugiem. Okazało się że to moja uczennica, wtedy nie rozpoznawałam jeszcze swoich uczniów. Można było zostawić to dziecko, albo zastosować wskazówkę z Ewangelii cokolwiek czyniliście jednemu z tych braci (...) Dzisiaj ta dziewczyna jest panią w sile wieku, ma dzieci, skończyła studia.

Później po różnych przejściach życiowych nieustannego poszukiwania, gdy już pracowałam w Warszawie z moją przyjaciółką, z którą do dzisiaj jestem we wspólnocie, ona jest mężatką i ma dzieci, byliśmy na ostatniej mszy św. o godz. 20.00 w kościele Jezuitów. Na tę mszę przychodziło wielu ludzi bezdomnych, po to, aby się ogrzać. To była druga połowa lat osiemdziesiątych. Kończy się msza my wychodzimy, kościelny dzwoni kluciami, my pójdziemy do naszych ciepłych domów, a oni albo na dworzec, albo do śmietników czy na klatkę schodową. Nie było wtedy żadnych schronisk dla ludzi bezdomnych, poza jednym Brata Alberta we Wrocławiu.

I tak zaczęła się nasza historia. Postanowiłyśmy założyć schronisko dla bezdomnych, nie mając nic. Mieszkałyśmy w Warszawskim w mieszkaniu mojej mamy. W tym czasie chodziłyśmy już do więzienia dla kobiet, co było wtedy jednym z siedmiu cudów świata, a nam się udało. Kobiety które wychodziły z więzienia nocowały u mojej mamy. Dwie rzeczy się wówczas zbiegły: kobiety opuszczające kościół o wpół do dziewiątej i te wychodzące z więzienia. Niestety nasze przyjaciółki więźniarki nie wszystkie były aniołami i mogło to zagrażać mojej mamie. Postanowiłyśmy założyć „schronisko” z prawdziwego zdarzenia. Do tego trzeba było mieć budynek i jakiś rodzaj osobowości prawnej. Zupełnie przypadkowo spotkałyśmy się z księdzem pallotynem byłym

misjonarzem z Afryki, który pracował u Sióstr Matki Teresy z Kalkuty. Założyliśmy wówczas pierwsze w Polsce Stowarzyszenie Katolickie. To było nieprawdopodobne, biorąc po uwagę, że był rok 1988, a nazywało się to Katolickie Stowarzyszenie Pracy i Nadziei. Zebrało się kilka osób, z których do tej pory nikt nie pozostał. Byli to ludzie głęboko wierzący, ale niestety teoretycy. Był to jednak jakiś początek, mieliśmy papier w ręku, ale nie mieliśmy domu. Maciej Rayzacher, aktor, nasz przyjaciel zaczął się rozglądać w kręgach Solidarności i w Prymasowskim Komitecie na Piwnej. Ludzie zaczęli nam przynosić jakieś koce, kołdry i inne podstawowe rzeczy. Jeden pokój u mojej mamy był całkowicie wypełniony tymi rzeczami. I znowu przypadkiem spotkaliśmy chłopaka, który powiedział nam, że we jest Francji taka wspólnota, która robi dokładnie to co my mamy na myśli, nazywa się Wspólnota Chleb Życia i podał nam adres. Zadzwoiłam do nich i powiedziano mi: przyjedźcie tutaj do Francji.

Wtedy wyjazd za granicę był nie lada problemem, ale udało się pozatwierać potrzebne formalności i pojechaliśmy. Pewna działaczka katolicka umożliwiła nam wejście do różnych schronisk, zaproszono nas także do więzienia, mogliśmy rozmawiać z ludźmi. Pewien ksiądz zaprosił nas na mszę świętą, wtedy mocno byliśmy zdziwione i zaskoczone sposobem w jaki tę mszę sprawował. Do komunii przystępowali wszyscy, którzy byli obecni na liturgii, nawet muzułmanie. Ci to przesadzili z tą odnową soborową.

Był wrzesień 1989 roku - kasy zero. Jak te wszystkie francuskie doświadczenia przesadzić na polski grunt. Wspólnota Chleb Życia, której członkiem jestem dzisiaj, miała między innymi dom w Normandii i schronisko dla bezdomnych w Lisieux, miejscu związanym ze św. Teresą od Dzieciątka Jezus. Szef tego schroniska brat Bernard pokazał nam podległą sobie placówkę. Najpierw poszliśmy do Karmelu i tam modliłyśmy się o trzy rzeczy. Po pierwsze o papierosy bo paliłyśmy, a nie miałyśmy pieniędzy, po drugie o kartkę pocztową, bo chciałyśmy wysłać naszemu niewidomemu i kompletnie sparaliżowanemu przyjacielowi, którym się opiekowałyśmy, żeby miał jakąś frajdę, że dostał kartkę z zagranicy i po trzecie oczywiście o dom. Wróciłyśmy na obiad, a tu telefon ... Jakimś cudem Maciej nas znalazł w tym Lisieux i mówi: słuchajcie siostra Ksawerego Jasieńskiego (był to lektor znany między innymi z filmów i z tego, że nagrywał książki dla niewidomych) jest Przełożoną Generalną Zmartwychwstanek. One opuściły nieduży dom pod Bielskiem Białą i mogą go nam przekazać. Za chwilę kiedy skończył się obiad podszedł jeden z chłopaków i mówi: wy palicie a chyba nie macie papierosów i dał nam paczkę. Kiedy już wyjeżdżałyśmy stamtąd inny mieszkaniec dał nam na pamiątkę kartkę pocztowa z Lisieux.

Pojechaliśmy do tych Bulowic, tak to się nazywało. Zima się zbliża, chałupa drewniana, wyczyszczone wszystko, że nawet myszy tam nie było. Udało się namówić ordynatora z oddziału leczenia alkoholików szpitala psychiatrycznego, żeby dał paru chłopaków, aby to chociaż odmalować. Kiedy tam napaliliśmy to już było coś. Później trzeba było jeszcze przewieźć rzeczy z Warszawy. Przy Diecezji Warszawskiej powstało już Caritas i mieli samochód dostawczy. Okazało się że kierowca ma do odbioru pralkę w Bielsku Białej. W związku z tym kierowca za parę groszy podjechał z rzeczami do nas, a wracał ze swoją pralką. 24 grudnia 1989 roku Maciej Rayzacher zorganizował pieniądze i zrobiliśmy pierwszą w Polsce Wigilię dla bezdomnych na Dworcu Centralnym w Warszawie. Przyszło kilkaset osób. Ogłosiliśmy tam, że mamy dom dla kobiet i że zapraszamy podaliśmy adres. Następnego dnia rano słychać pukanie do drzwi. Przyszło około 10 osób, ale nie tylko kobiety. Nie można było powiedzieć panom dziękujemy, zwłaszcza, że niektórzy z nich byli z sobą związani np. Sławek i Ela, z którymi przyjaźnimy się do dzisiaj.

I tak to się zaczęło. Pierwsze pieniądze - 50\$, co wtedy było dużą kwotą, dała nam pani Zofia Romaszewska. Dom pod Bielskiem już nie istnieje, byliśmy tam dwa lata. Okazało się, że była to

kompletna ruina i nie opłacało się inwestować. Dzisiaj mamy 7 domów dla bezdomnych, w których przebywa około trzystu osób.

**Tu można by ewentualnie podzielić ten tekst koniec części pierwszej edn.**

Kiedy otwieraliśmy nowy dom w Warszawie, Maciej Rayzacher został wiceburmistrzem jednej z dzielnic Warszawy. Odnalazł zrujnowaną, porzuconą własność na ulicy Łopuszańskiej, zarzuconą śmieciami, zarośniętą chwastem i trawą do wysokości 2 metrów. Gmina nam to przekazała i jesteśmy tam do dziś. Dom wyremontowaliśmy i trzeba było wszystko co było zgromadzone w Bulowicach przewieźć, a przez dwa lata nabierało się tego sporo. W tym czasie Maciej został wysokim rangą pracownikiem Ministerstwa Obrony Narodowej, a co za tym idzie miał do dyspozycji wojskowe ciężarówki. Wojsko przewiozło nam ten majdan z Bulowic. Nieraz Pan Bóg stawiał przed nami Macieja właśnie wtedy, kiedy był nam niezbędnie potrzebny. Zresztą to uroczy człowiek. Kiedy już byliśmy w Warszawie zobaczyliśmy, że ludzie którzy do nas przychodzą mają ogromne potrzeby, że jest potrzebne także miejsce dla chorych. Później okazało się że na dworcach śpią matki z dziećmi. Trzeba było otworzyć coś dla matek z dziećmi. Potrzebne było też schronisko dla kobiet, które są chore psychicznie, zakaźne, czy też uzależnione od alkoholu. Przychodzili do nas także ludzie poważnie chorzy, potrzebujący specjalistycznej opieki. Ich przebywanie razem z innymi nie było najlepszym rozwiązaniem, było wręcz trudne do zniesienia dla jednych i drugich. Stąd powstało jedyne w tej chwili w Polsce specjalistyczne schronisko dla chorych, które ma teoretycznie 90 miejsc, praktycznie jednak nie odmawia się nikomu. Wreszcie okazało się, że niezbędny jest dom na wsi, gdyż bezdomni często nie są w stanie powrócić do normalnego życia i normalnej pracy ze względu na wiek i stan zdrowia, a trudno im znaleźć miejsce w Domu Pomocy Społecznej. Kupiliśmy małe domki bo pieniądze też były niewielkie - starą drewnianą, rozwalającą się chałupę i niecałe 2 ha pola, w świętokrzyskim. To takie miejsce gdzie wrony zawracają. Teraz jest to rozbudowane w naszym stylu. Wszystko to robiliśmy z naszymi bezdomnymi, bo wszystkie schroniska, o których była mowa trzeba było remontować i adaptować. Zaczęli do nas przychodzić ludzie ze wsi i prosili nas o jedzenie i o pracę. Zaczęliśmy dzielić się jedzeniem, ale z pracą był problem. Aż w końcu wyrzałam przez okno z kaplicy w czasie adoracji i zobaczyłam, że w naszym sadzie są takie stare drzewa odziedziczone po poprzednich właścicielach i gnijące pod nimi jabłka. Pomyślałam sobie wezmę te kobiety i zaczniemy robić konfitury. Na kuchence trzypalnikowej dziewczyny smażyły te konfitury z jabłek, a ja je sprzedawałam jeżdżąc po różnych konferencjach. Później nasza znajoma, mocno nadziana pani pomogła nam wybudować małą przetwórnę.

W tym samym mniej więcej czasie przyszła do nas dziewczyna z czwartej klasy liceum i prosiła o pożyczkę 50 złotych, bo nie miała na opłacenie internatu. Również na adoracji przyszła mi myśl by pojechać do Opatowa, do tego liceum. Prosiłam o listę 20 uczniów, którzy są w najtrudniejszej sytuacji. Dyrektorka odpowiedziała, że takich nie ma. Jednak następnego dnia przyjechało dwoje nauczycieli z tego liceum, podziękowali za zainteresowanie i zostawili listę, o którą prosiłam. Tygodnik Powszechny za darmo wydrukował mi tę listę pod hasłem „Fundusz stypendialny - podaruj im szkołę”. Dzisiaj sponsorowanych jest ponad 600 młodych ludzi na takiej zasadzie, że jedna osoba sponsoruje jednego konkretnego ucznia. Po to żeby to wszystko ogarnąć założyliśmy fundację. Dlatego, że nasza wspólnota to jest życie razem z ubogimi, wokół Chrystusa, w Eucharystii, czyli stwarzanie przestrzeni w której człowiek, który się wstydy przekroczyć progi kościoła, z nami mógł spotkać Tego, kogo szukał całe życie, że z nami ma dostęp do Chrystusa w Eucharystii. Natomiast warsztaty pracy i fundusz stypendialny nie wymaga życia wspólnego, tylko

fachowców. W tej chwili mamy cztery warsztaty, przetwórnię, która zdobywa nagrody wyrobów tradycyjnych, stolarnię, szwalnię damskiej bielizny niezwykle eleganckiej.

To nie jest tak że z Panem Bogiem można sobie zaplanować biznes plan. On ma zwyczaj stawiać nam na drodze proroków, niespodzianki. Wszystko zależy od tego czy otworzymy szeroko oczy, czy będziemy „to” czuli, czy zaryzykujemy, bo to o czym mówię często wymaga ryzyka, a rzeczywistość nieraz bywa trudna.

Pamiętam taką scenę w Bulowicach. W całym domu był jeden piec kaflowy w którym jak się napaliło, to trzeba było otworzyć okna i trzy godziny poczekać aż czad wyjdzie, dopiero wtedy można było położyć się spać. Siedzieliśmy tak przed snem przy stole w kuchni, nie mieliśmy prawie nic do jedzenia, było zimno. Wtedy Renia, nasza pielęgniarka, aby dodać wszystkim otuchy powiedziała: O nic się nie martwcie, o nas będą jeszcze książki pisać. Wszyscy zataczaliśmy się ze śmiechu. Kupa nędzarzy na końcu świata, zamieć śnieżna, nie ma co jeść. Innego dnia mówi do nas: O nic się nie martwcie jeszcze Jezuitów będziemy pouczać. Dobry dowcip, dobra mina do złej gry?

Nie wiadomo jakie zadanie jeszcze Chrystus przed nami postawi. Kiedyś pokazał nam dzieci stojące pod sklepem monopolowym na wsi. Udało nam się wydębic budynek zostawiony przez szkołę i mówiłam do mieszkańców wsi, że to będzie świetlica dla dzieci, boisko, tor rowerowy. Dzisiaj jest tam przedszkole, świetlica dla dzieci i młodzieży, boisko wielofunkcyjne. To wszystko jest robione rękoma członków tej wspólnoty, to są często ludzie po przejściach. Nikt z nas nie jest wielkim uczonym w piśmie. Są oczywiście ludzie którzy pokończyli studia, ale są i tacy, którzy dopiero we wspólnocie nauczyli się czytać i pisać. I jeszcze jedno, ta odrobina szaleństwa chyba się Panu Bogu podoba.

Parę dni temu mieliśmy stan konta tak śmieszny że nie wystarczyłoby na kupienie jedzenia dla trzystu osób, o czym nawet moje służby finansowe nie powiadomiły mnie, żeby mnie nie denerwować. No i zadziałał wasz święty - o. Daniel Brottier, którego zatrudniliśmy na etacie. Zadzwoił do mnie jakiś mocno zniecierpliwiony facet, że nie wie na który numer konta ma zrobić przelew, bo na stronie internetowej są dwa. Następnego dnia zadzwoniły dziewczyny i były w szoku, kazały mi liczyć zera i komisyjnie te zera liczyłyśmy.

Odkryliśmy kolejny problem. My mamy łazienki, a wokół nas żyją ludzie koszmarnych warunkach, często słabi chorzy, dzieci, którzy nie mają łazienek, nie mają toalet. Wobec czego kąpią się raz na tydzień, a idąc brudne do szkoły wstydzą się. W zeszłym roku zbudowaliśmy rodzinie z sześcioro dzieci dom, ratując w ten sposób budżet państwa przed wielomilionowymi stratami. Dwa miliony złotych do końca edukacji - tyle kosztowałyby zabranie dzieci do domu dziecka. W tym roku też już mamy rodziny, które przychodzą i błagają, żeby pomóc im polepszyć warunki życiowe.

Tak naprawdę chodzi o tę wolność, tę świadomość, kiedy będziemy kładli się do łóżka, że zrobiliśmy wszystko aby inni też mogli położyć się do łóżka. Możemy zjeść normalnie i podzielić się żywnością z innymi. Taka zwykła przyzwoitość, nic więcej. To jest ten rodzaj wolności, o którym mówi Chrystus: „poznajcie prawdę, a prawda was wyzwoli”. Prawda jest taka że ci których Pan nam przysłał cierpią, a jak się im pomoże to wtedy jesteśmy wolni. Chociaż te 15 minut pomiędzy momentem, w którym nie ma kasy, a momentem, w którym przychodzi Opatrzność nie są łatwe.